

KRYPTOPARTY

Pociąg metra zwolnił, zaszurał, zatrzymał się z cichym piskiem. Moje półbezwładne, pięćdziesięcioletnie ciało wprasowało się w żółtą barierkę. Młoda, szczuplutka dziewczyna przemknęła między rzędami kolan pasażerów, zahaczając torebką o moje ramię. Rzuciła jedynie dźwięcznie brzmiące „sorry” i wybiegła na peron, zostawiając mnie zawoalowanego zapachem jej kwiatowych, letnich perfum, pogrążonego w świecie nieistniejącym już od trzydziestu lat, w którym młody Tomasz był królem świata. Którego to kobiety odprowadzały wzrokiem, wbitym tęsknie w jego nagie plecy, mając świadomość, że jedyne, co im po mnie pozostanie, to zapach tanich papierosów w ich włosach, na ich piersiach, udach, w prześcieradle.

Trzydzieści lat doświadczenia w branży informatycznej to więcej, niż te gnojki pracujące na działaniach na świecie żyją. Każdy niby wielki pan programista, każdy z własnym tytułem¹: junior, mid, senior, seniorita, mamacita. Backendowiec, frontendowiec, tester, analityk, ju-łaj dizajner, zegarmistrz światła purpurowy, makumba ska, psia ich mać. Się ponazywali, jak pokemony. Trzydzieści lat, a każdy rok w tym samym pokoju o powierzchni kilku warszawskich kawalerek. A mógłbym, jak te małpki w spadających portkach i kapturach na kudłatych łbach, skakać z gałęzi na gałąź. Gdzie, kto da ile? Dziesięć złotych za godzinę, a na B2B więcej? Dwadzieścia? A może MultiSport, bo nie można już zwyczajnie, analogowo i za darmo biegać po chodniku, trzeba pajacować na bieżniach jak chomik.

– Stacja Młociny – zaskrzeczała metalicznie maszynka do mielenia w nieskończoność raz nagranych męskiego głosu.

Wysiadłem i wlałem na schody, które powolnie zawiozły moje leniwe cielsko na górę. Przy wyjściu z metra stoi, a raczej leży kilka hulajnóg. Biorę tę w moim ulubionym kolorze – zielonkawym – proszę grzecznie telefon o zerknięcie cybernetycznym okiem na jemu tylko zrozumiały kwadracik z przedziwną czarno-białą szachownicą.

Pik, pirik, pik, pik.

Jadę. Siedem minut wieczornej jazdy opustoszałym chodnikiem. Chłodny wiatr wiejący w tym, co czas łaskawie pozostawił z mojej fryzury. Na parę minut wracam

¹ Wszystkie obce nazwy określające zawody osób i ich role społeczne zapisywane są w formie spolszczonej. Celem takiego zabiegu było pokazanie, jak bardzo dla głównego bohatera są to niezrozumiałe słowa, które traktuje prześmiewczo.

trzydzieści lat wstecz, do czasów gdy grzywkę na czole rozwiewał mi wiatr, a ja razem z kumplem pędziłem co sił na rowerze, zwiewając przed policją. Albo kiedy gnałem z sercem wyskakującym z piersi, ledwie mogąc złapać oddech po tym, jak laska, w której się podkochałem niemal przez całą podstawówkę, przekazała mi przez kumpla, że ma wolną chatę na weekend.

Zamek w drzwiach mieszkania zgrzyta posłusznie, od progu wita mnie aromat świeżo upieczonego ciasta. Niepokój przebiega mi wzdłuż kręgosłupa, ciarka po ciarce, krąg po kręgu. Zamykam ostrożnie drzwi, poprawiam okulary na nosie, toczę wzrokiem po mieszkaniu. Syn morduje cyfrowe potworki wyskakujące na ekranie telewizora. Dobrze, przynajmniej przed telewizorem panuje wieczór jak wieczór. Rozglądam się dalej... O nie.

Stół. Zza blatu, w złowieszczym świetle wiszącej ikeowskiej lampy, cynicznie łypie Zygmunt I Stary. Zarysowała bok czy obila drzwi? Nie, w kuchni piecze się ciasto, to musi być coś większego kalibru. Spalone sprzęgło? Zerwany ręczny? Zbity reflektor...?

– O, jesteś, kochanie! – wybuchł radosny, ciepłutki, pełen miłości świergot mojej szanownej małżonki Magdy, która wyskoczyła z kuchni, rzuciła mi się w ramiona i przywitała wilgotnym i miękkim całusem w policzek.

Coś jest nie tak. Mózg odtworzył mi przed oczami scenę z *Obcego*, gdzie Ripley trzęsie się przyklejona do ściany, z paszczą Obcego znajdującą się centymetry od jej wykrzywionej terrorem twarzy.

– W sobotę jedziemy na wieś do Gosiuni.

Mózg mi zamarł. Pozytywny wynik na HIV byłby lepszą wiadomością.

– Po co? – zapytałem i od razu sięgnąłem do portfela; każdy małżeński problem da się rozwiązać, jeśli się ze sobą razem usiądzie, porozmawia na spokojnie, wyjaśni sobie nieporozumienia i wyciągnie z portfela parę stów na Zalando albo Sephorę.

– Gosia spodziewa się dziecka – odparła, oblizując drewnianą łyżkę z resztek ciasta.

– Gosia zawsze spodziewa się dziecka – mruknąłem, zdejmując płaszcz. – Proponuję pojechać i świętować, kiedy przetrwa chociaż jeden rok bez ciąży.

– Razem z Sebastianem urządzają... Ehh... Synku, jak to się nazywało?

Sebastian. Imię dla psa. Wykastrowanego. A już zdążyłem wyprzeć z głowy postać tego człowieka, zanim znowu wdarł mi się do świadomości.

– *Gender reveal party* – ryknął przez pół mieszkania mój wspaniały, obyty w świecie syn, zagłuszając towarzyszącą grze muzykę, która świetnie zgrywałaby się zarówno z cutsceńką przedstawiającą mordowanie zmechanizowanego potwora, jak i ze scenką dorzynania resztek duszy pięćdziesięcioletniego informatyka.

– Tak, właśnie to – przytaknęła Magda i kiwnęła głową na dwieście złotych leżące na stole. – To takie przyjęcie, podczas którego przyszli rodzice informują gości wszem i wobec, jaka będzie płeć dziecka. Wszystko w formie niespodzianki, bardzo kreatywnie, widziałam na TikToku. Dałbyś radę skoczyć jutro po pracy do Smyka i kupić coś ładnego?

– Do Smyka? Ja? – zdumiałem się. – Nawet gdybym wiedział, czy to dziewczynka, czy chłopiec, nie miałbym pojęcia, co kupić! Jak niby mam wybrać prezent, kiedy żadne z nas nie wie, komu go kupujemy?

– Oj, dasz radę – odparła, machnęła trzymaną w dłoni łyżką i zniknęła w głębi kuchni. – Zapytasz panią w sklepie, coś tam ci wciśnie.

Przez korytarze centrum handlowego przelewały się tłumy kobiet o nieobecnych spojrzeniach, drących się dzieci i zapatrzonych w telefony facetów, a ja, owiewany ich pośpiechem, stałem przed bramkami do Smyka. Słodkawy zapach rozchodzący się po sklepie jeszcze dziesięć minut temu pachniał zachęcająco, teraz drażnił mi nozdrza i gardło, jakbym się nawdychał azbestu. Wszedłem.

Pierwsza półka, a na niej olbrzymia koparko-ładowarka. Różowa. Powinna pasować, łągałem sam do siebie.

Druga, zestaw „Zostań Youtuberem”, czyli jak zachęcić gówniarza do obrócenia wniwecz nadziei rodziców na odchowanie dziecka tak, by wyszedł na człowieka społecznie przydatnego. zestaw „Zostań Tiktokkerem”, czyli jak oddawać dane swojego dziecka chińskiemu rządowi. Ostatnio czytałem, że na terenie Chin algorytmy pokazują dzieciakom filmy o nauce, technologii, matematyce, za to w USA i Europie ogłupiające filmiki z wywijaniem tyłkiem. Gdzieś tu musi być zestaw małego junior ju-iks dizajnera, w końcu to chyba półka mszczenia się na dzieciach za utratę talii i zasądzone alimenty. Powinien być przynajmniej jeszcze jeden zestaw – „Zostań bezużytecznym dla ludzkości i niecierpliwie oczekującym pierwszego dnia głodowej emerytury specjalistą do spraw security w firmie zajmującej się dostarczaniem paczek”.

– Pomóc panu? – zaświergotała młodzianka dziewczyna usadzająca na regale obok pluszowe pieski, kotki, słoniki i jednorożce z brokatowymi oczami.

Pokręciłem głowę, wyszedłem, odetchnąłem, jakbym się wyrwał ze szpon różowego boa dusiciela i cudem zdołał zaczerpnąć oddech. Ruszyłem marmurowym korytarzem w stronę wyjścia i świeżego powietrza. Po drodze mijałem wielkie plakaty, z których kobiety

łypały na mnie olbrzymimi oczami, a parę kroków dalej wyciągały do mnie ręce bezgłowe manekiny ubrane w ciuchy, na które może stać senior fullstacków, ale na pewno nie normalnego człowieka. Już miałem wychodzić, gdy kątem oka zobaczyłem przedziwną maszynkę stojącą koło rozsuwanych drzwi. Cofnąłem się, zmierzyłem wzrokiem jej chude, metaliczne cielsko i nieduży ekranik i wstąpiło we mnie coś, czego dawno już nie zaznałem.

Ambicja.

– Że co zrobiłeś?! – wrzasnęła na mnie żona w połowie ekspresówki na Kielce, zaciskając palce na kierownicy jak szpony.

Cała ekscytacja minęła jak ręką odjął. Przez połowę nocy siedziałem z nosem przed kompem, co chwila rozmasowując kark, i czytałem poradniki na portalach kryptowalutowych, w jaki sposób dostać się do portfela założonego przez bitomat i jak umieścić dostęp do takiego portfela na lepszym nośniku niż świstek papieru. Wreszcie, o trzeciej nad ranem, mi się udało. Ledwo na oczy widziałem, na autopilocie zamknąłem kompa i padłem na łóżko.

– Powtórz jeszcze raz. Co żeś wymyślił?

Przełknąłem ślinę, ściskając w rękach pendrive, którego razem z kubkiem, długopisem i podejrzanym kształtów masażerem, podobno do twarzy, dostałem od firmy pod choinkę w zeszłym roku.

– To inwestycja – wymamrotałem do własnych kolan. – Sama kazałaś mi wybrać prezent dla dziecka, którego jeszcze na świecie nie ma, i nawet nie wiadomo, czy to chłopiec, czy dziewczynka, czy co...

– Miałeś kupić, nie wiem, śpioszki! Butelkę! Przewijak! Jeśli znów wymyśliłeś jakąś durnotę, przez którą będę oczami świecić, to... przysięgam na matkę...

– Nie wzywaj imienia szatana nadaremno...

Całe szczęście, że biała audica zajechała nam drogę, zatrąbiła i dała po hamulcach, bo agresja wścieklej baby przerzuciła się na buca jadącego przed nami.

Po dwóch godzinach jazdy w milczeniu pożegnaliśmy ostatni fragment asfaltu i zaczęliśmy toczyć się po błotnistych wybojach, aż wreszcie zza zakrętu wyłonił się koszmarek PRL-owskiej budowlanki: sześcian z szarej cegły, mający po dwa małe okna na ścianę, a każde świecące bielą najtańszego PCV.

– Cześć, Sylwek, nic się nie zmieniłeś – mruknąłem pod nosem, gdy ze stodoły, zza wielkiego czarnego bmw zaczął człapać ku nam wielki, opasły knur.

Schowałem pendrive do kieszeni i wziąłem głęboki oddech, modląc się, aby ta sceneria rodem z *Wesela* Smarzewskiego nie pchnęła mnie w objęcia szaleństwa. Wtedy to poczułem – głęboki, intensywny zapach świniaka obwąchującego nasze opony.

Zapukaliśmy do drzwi, otworzyła siostra mojej żony, Gosia. Zamrugalem parę razy, usiłując dostosować wzrok do wielkiej, pękatej kobiety, w dodatku wyglądającej, jakby obrzygał ją Rossmann.

– Jesteście, kochani, wchodźcie! – zaprosiła, szczerząc nienormalnie białe zęby i wykrzywiając pękate, kaczkowate usta w parodystycznym uśmiechu; cokolwiek miała na twarzy, wyglądało jak pomarańczowe ciasto.

Ledwo stłumiłem śmiech na widok brwi narysowanych na kształt permanentnego wkurwienia. Albo zdziwienia.

Podreptaliśmy w głąb domu, do salonu pełnego metalicznych balonów, błękitnych i różowych. Skinąłem głową, by przywitać się z kilkoma laskami, obklejonymi wielką hubą drących się dzieciaków, z bandą młodych łebków, z których żaden mi nie odkiwał, a także z teściami rozlanymi wygodnie na kanapie. Teść Bogdan uścisnął moją rękę i pociągnął mnie w dół, aby móc sięgnąć mi do ucha.

– Nie bój się, synu, mam już plan, jak nas stąd wydostać – przywitał się ze mną więdnącym półgłosem.

– Tak jak na Wigilii, tato? – zapytałem cichutko, tuż nad jego aparatem.

Pokiwał głową, chyba nawet przez ułamek sekundy zobaczyłem iskierki życia wracające do jego oczu.

– Czas prezentów! – zaśpiewała Gosia głosem brzmiącym niczym pozytywka z horroru.

Szpony żony wbiły mi się w dłoń, na co zacisnąłem zęby. Przez pokój przemaszerowały panie, kobietka za kobietką, każda z prezentem wielkości tego knura na podwórku, który teraz pewnie wpieprza nam tablicę rejestracyjną. Gdy po pół godzinie szwagierka, obłożona połową asortymentu Smyka, zapytała, czy ktoś przywiózł coś jeszcze, zezując na własną siostrę, a moją żonę, prawie pisałem z bólu.

– Tak – powiedziałem, podnosząc się z kanapy.

Oczy wszystkich w pokoju wbiły się w moje pulsujące skronie, a potem w dłoń, gdy sięgałem do kieszeni. Wataha chłopczków prychnęła zdławionym śmiechem.

– Postanowiłem sprawić mojemu przyszłemu siostrzeńcowi, bądź siostrzenicy, prezent wyjątkowy. Prezent, którego wartości w czasie nie sposób dziś oszacować. Jeśli moje przypuszczenia odnośnie do kierunku, w jaki zmierza nasz nowy, cyfrowy świat i technologie, są słuszne, prezent ten za osiemnaście lat może zapewnić młodemu człowiekowi bezpieczną przyszłość. Jednakże...

Jakiś dzieciak zaczął rozpaczliwie ryczeć, więc wszystkie laski rzuciły się ku niemu. Spojrzałem na twarz gospodyni, Gosi, i stojącego za jej ramieniem Sebastiana, barczystego typu o łysej czaszce i twarzy podobnej do twarzy fantomów, na których uczy się pierwszej pomocy (jestem w stanie przyjąć zakład, że były wzorowane na jakimś sprzedawcy używanych aut z Niemiec).

– Jednakże co? – rzucił przez pokój Sebastian.

Przed oczami stanęła mi klasa pełna dzieciaków, każde z choinką sklejoną z makaronu na ławce i tylko ja, stojący przy biurku psychopatycznej baby od techniki, usiłujący znaleźć odpowiedź na pytanie, czemu nie zrobiłem stroika.

– Jednakże... – Słowa uwięzły mi w gardle. Obracałem w palcach pendrive, srebrny, obudowany szczerkowanym metalem, ciepły od ściskania w dłoni, śliski od potu. – W środku znajduje się plik z instrukcją, jak dostać się do portfela kryptowalutowego, razem z hasłem...

– Ile? – rzucił Sebastian, Gosia szarpnęła go za rękę i syknęła półgębkiem.

– Dwie... dwieście złotych w Litecoin... Bo wiecie, gdy... gdyby kupić Bitcoina w 2010, kiedy wart był dziewięć centów...

– O mój Boże!

Nagle cały pokój wybuchł. Wszyscy rzucili się w kierunku mojego teścia, który związał się na kanapie, przyciskając ręce do piersi.

– Do domu... leki... – stękał, ześlizgując się na dywan.

– Bodziu! – jęknęła blada jak kreda teściowa. – Bajpasy... Wracamy...

– Nie! – wydarłem się władczo i wyciągnąłem rękę w stronę żony, kiedy teść zaczął wierzcąc głową i wybałuszać oczy, a jego ślina rozbryzgiwała się po dywanie i stoliku. – Kluczyki!

– Chyba lepiej byłoby... – zaczęła kręcić nosem.

– Kluczyki!

– Dzień dobry, witamy w McDonalds, czy mogę przyjąć zamówienie? – odezwał się dziewczęcy głos z czarnego totemu przy drive-thru, a do mnie dotarło, że to najmiłsze, co usłyszałem od jakiegokolwiek kobiety w ciągu paru miesięcy.

– Poproszę Big Maca i duże cappuccino. Są te takie łódeczki, które kiedyś mieliście?

– Są.

– To też poproszę, z sosem śmietanowym. Tato? – rzuciłem do teścia wycierającego ślinę z brody.

– Kanapkę jakąś – mruknął, wyjmując ostatnią chusteczkę z paczki.

– To dwa razy Big Mac będzie.

– Poproszę o zerknięcie na ekran, czy zamówienie się zgadza.

– Zgadza się – odparłem, wyciągając z podłokietnika zapasowe chusteczki.

– Zapraszam do następnego okienka.

Zapłaciłem, odebrałem. Zajechaliśmy na parking, wyciągnąłem z dna torby pudełko z burgerem.

– Dzięki, że tym razem się nie zsikałeś – powiedziałem, wręczając je teściowi.

– Wtedy to była Wigilia, inne warunki – odparł i złapał niezgrabnie za bułkę. – Tam to nie wystarczy byle atak serca. Może gdybym dobrze zagrał opętanie...?

– Nie tak, tato, nie tak – przerwałem mu i wskazałem na burgera w moich palcach. – Nie tak trzymasz, tak ci się porozwala. Musisz odwrócić do góry nogami. Tak się łatwiej je. A co do opętania niedługo będzie można i to wypróbować. Za ile Wigilia, za trzy miesiące? Nawet mniej.

– Powiem ci tak – odparł, pół kotleta wyslizgnęło się i spadło mu na sztruksowe spodnie. – Rodzone dziecko to loteria, pół na pół, albo będzie normalne, albo po matce. A jak się ma córkę, to te babskie cholery nawet i rachunek prawdopodobieństwa potrafią przekabacić na swoją stronę. Ja cię naprawdę podziwiam, tyle lat z Madziulką... Czasami myślę, żeby zrobić test na ojcostwo, może jest cień nadziei, że ja z tym nic wspólnego nie miałem. A wnuczek? Jak wnuczek?

– Dobrze – wybełkotałem z pełnym ustami. – Do liceum zaraz idzie.

– A czemu nie przyjechał? Czemu na Wigilii nie był...

– Bo jest sprytniejszy od nas, tato.

– A, no tak.

Ekran telefonu rozbłysnął i w tej samej chwili na tle nawigacji pojawił się SMS od żony: „Zostaję na noc u Gosi. Wracaj sam”.

– Co się stało? Córcia coś pisze?

– Pułapka – odparłem.

To było jak gra w szachy 4D: jeśli wrócę bez niej, będą pretensje, że musiała się sama tłuc do Warszawy, ludzi prosić, oczami świecić, a jeśli pojedę do Gosi, by zostać tam z nią na noc, to jakbym wlaźł gołym dupskiem w mrowisko.

– Przechowasz mnie, tato? Do rana?

Położył mi rękę na barku; rękę starca, ale silną, zdecydowaną, ojcowską i taką, jaką całe dzieciństwo chciałem na ramieniu poczuć.

Zasnął na fotelu przed telewizorem, więc przykryłem go kocem, wyłączyłem przedziwny TVN-owski program, w którym ktoś w stroju prysznicza tańczył na tle pustyni. Nie zdążyłem doczłapać się z powrotem do kanapy, gdy poczułem zew McDonalda w jelitach i popędziłem do łazienki, w której znajdowała się stara toaleta z żółtopomarańczową od kamienia półeczką do podziwiania, mój ulubiony model.

Wyjąłem telefon, na górnym pasku zamigotało zielone powiadomienie: „Kurs Litecoin, pięć tysięcy dolarów”. Telefon upadł na PRL-owskie kafelki; szybka rozprysnęła się na drobne odłamki. Mój mózg zamarł. To niemożliwe. Podniosłem smartfon z podłogi i spojrzałem jeszcze raz. Odświeżyłem ekran, w ułamku sekundy narysowała się na nim zielona pionowa kreska, sięgająca od prawie zera do ATH, *All-Time Hight*².

Miałem trzy godziny drogi do Warszawy, gdybym wyjechał teraz; może i nawet we dwie dałbym radę. Tylko czy zapisałem na kompie adres i hasło do portfela? Zacisnąłem pięści na głowie, szarpnąłem za resztki włosów. Zamykałem komputer, ledwo widząc na oczy. Prawdopodobnie wszystko się pozamykało bez zapisu.

Jest tylko jedna, jedyna kopia danych dostępu i znajduje się w paszczy lwa.

Zajechałem bez włączonych świateł, stanąłem za krzakami i zgasilem silnik. Żadnego światła w żadnym oknie, ale dla pewności zgarbiony przebiegłem przez pole, kucając między krecimi

² *All-Time Hight* (ATH) – termin używany do określenia najwyższej notowanej ceny aktywa w historii notowań tegoż aktywa; Termin stosowany w środowisku inwestorskim, kryptowalutowym oraz na rynkach finansowych.

kopcami co pięć sekund. Dobiegłem do ściany stodoły i nadstawiłem uszu. Cisza. Szum liści na drzewach, ale poza tym...

– Hhhrrrrrkhhmm.

Z ciemności wyłoniła się para lewitujących, żółtych ślepi. W ostatniej chwili zatkałem rękami usta. Upadłem na plecy w błotniste bajoro, maź sięgnęła mi uszu, telefon z włączonym fleszem zniknął w trawie. Uniosłem się na czworaki, przeczesalem bagienko, aż palce trafiły na obłe, prostokątne krawędzie smartfona.

– Hrrrrmmmpff...

– Zamknij się, Sebastian – wycedziłem, stając na nogach.

Przecisnąłem się przez szczelinę w zardzewiałej siatce ogrodzeniowej; samotny drucik rozdarł mi koszulę na plecach. Zerwałem z siebie resztki ubłoconej, podartej szmaty i przewiązałem ją w pasie.

Nie zostawiać żadnych śladów.

Powoli, bezszelestnie podszedłem pod drzwi. Klamka oparła się szarpnięciu.

Myśl, szybko. Gdybyś był dwudziestosiedmioletnią, chronicznie ciężarną bezrobotną tiktokerką, gdzie schowałbyś zapasowy klucz?

Krok w tył, Sebastian za plecami chrupkał coraz głośniej. Od teraz mają na wsiach stróżujące knury, nie psy? Spojrzałem przez ramię i aż syknąłem, a świnia znieruchomiała, zamilkła. Przy schodkach stał nieduży ceramiczny krasnal z przekrzywioną czapką.

Zamek zgrzytnął, wślizgnąłem się do środka. Cholerna wiejska ciemność, żadnych latarni, nic. Po omacku przesuwałem się w głąb korytarza, sunąc ręką po ścianie, róg za rogiem. Trafiłem do salonu wypełnionego złowieszczą stertą pudełek z największymi i najtańszymi zabawkami, jakie ma Smyk. Albo Allegro. Albo Aliexpress. Wpadłem na stolik kawowy z resztkami tortu, filiżankami, talerzykami, dowodami minionego obżarstwa.

Kanapa, tak! Uklęknąłem na dywanie. Gdzie ja mogłem to rzucić? Ojciec zsuwał się z kanapy, ja rzuciłem się do niego... Włączyć flesz? Szybciej znajdę, ale z drugiej strony...

– Hhhkkhhppfr!

Podskoczyłem tak, że uderzyłem głową w stolik; tort spadł na moje nogi. Natychmiast poczułem świński ryj na udzie.

Odgłosy z piętra wyżej. Serce stanęło mi na moment. Zacząłem wyłazić spod stolika, przez co filiżanki spadały wokół mnie, tłukąc się o kafelki imitujące panele i wydając odgłosy zrzucanych bomb. Bieg całego stada po schodach. Są na dole. Cyk, zapaliło się światło żyrandola.

Przede mną stanął czerwony na twarzy i gotowy do mordowania karczek w slipach, z pałąką teleskopową w dłoni, a za nim ciężarna kobieta pośpiesznie zapinająca szlafrok. Obok – teściowa zakładająca okulary, a przy niej dostrzegłem zarysy mojej żony, ale nie miałem odwagi spojrzeć w jej kierunku.

I tylko przez ułamek sekundy w pysku knura mignął mały, metalowy, srebrny przedmiot...

– Krrrrt.

...I wydał ostatnie tchnienie między jego trzonowcami.

Cisza, bardzo donośne odgłosy oddychania trzech bab i Seby w każdym tego słowa rozumieniu. Ja, półnagi na dywanie, umazany błotem i tortem, a obok mnie świnia zlizująca lukier z moich łydek.

– Ja... – zacząłem, bo coś powiedzieć musiałem. – Ja tylko chciałem się dowiedzieć, jaka będzie pleć...

Pałąka teleskopowa drgała, nozdrza też. Nawet slipy.

– Nie masz nam czegoś do powiedzenia? – rzuciła teściowa i wyduła pomarszczone od obgadywania usta w wyrazie ultymatywnej pogardy.

Miałem. Jedna rzecz od paru chwil nie dawała mi spokoju. Wskazałem palcem knura obwąchującego mi skarpetki. Beknął.

– Ile czasu trwa u niego proces trawienny?

Obudziły mnie odgłosy plastikowych przycisków na padzie syna, który siedział skulony w drugim rogu kanapy. Koc zsunął się ze mnie w nocy; znów mnie przez sen przewiało, czwarty dzień z rzędu. Kręgosłup strzyknął złośliwie, gdy zacząłem przewracać się na plecy.

– List przyszedł – powiedział syn i kiwnął głową na stolik.

Mała, odrobinę wypukła koperta. Jej zawartość już nie miała dla mnie żadnego znaczenia. Mimo wszystko usiadłem, rozerwałem szaropomarańczowy papier i wysypałem na dłoń kilka popękanych kawałków metalu. Całe szczęście kość pamięci sprawiała wrażenie nienaruszonej.

Zabawne. Minął tydzień i kurs Litecoina wrócił do stanu z dnia, w którym go kupowałem. Dwieście złotych. Nawet nie chciało mi się tego wypłacać.

Wcisnąłem na siebie krótki jesienny płaszcz, szarpnąłem sznurowadłami adidasów, wsunąłem na dłonie rękawiczki. Zaczął się wieczorny chłód.

– Idę śmieci wynieść! – wydarłem się, pewien, że żona usłyszy, nawet jeśli nadal nie będzie się do mnie odzywać. Tyle lat, a ona dalej myśli, że to kara.

Dźwignąłem wielki czarny wór, zamknąłem za sobą drzwi i zbiegłem schodami klatki. Uderzyło mnie rześkie powietrze, po czym wkroczyłem w ciemną nocną przestrzeń. Po chwili worek zagrzecotał w kontenerze, a ja kątem oka zauważyłem wirującą maleńką karteczkę. Upadła drukiem do góry, zanurzyła się w połowie w niedużej kałuży, pozostałej po wieczornym deszczu.

Litecoin, zakup za 200 PLN. Adres portfela. Hasło.

Stałem jak słup, wpatrując się w nią. Ktoś przeszedł obok, spojrzął na mnie dziwnie, lecz nic mnie to nie obchodziło. Zaśmiałem się, kucnąłem, podniosłem rozmiękły dowód mojej głupoty i wyrzuciłem do śmieci. Podbiegłem za róg, pod Żabkę; tam, gdzie zawsze stały wolne hulajnogi. Chwyciłem za rączkę zielonej.

– Pik, pirik pik, pik! – przywitała mnie jedna z nich, gdy odblokowałem ją przez smartfon.

Włożyłem słuchawki do uszu, na telefonie błysnęła okładka *The Works*, Queen. Odbiłem się stopą od chodnika, kiedy w słuchawkach popłynęły słowa mojego hymnu. Pod kciukiem przycisk przyspieszania stawiał delikatny opór. W duszy śpiewałem, że chcę być wolny, mimo że teraz, przez kilka chwil wieczornego telepania się po krzywych chodnikowych płytach, nie czułem się przecież zniewolony ani trochę.

Podjechałem na przystanek, po czym zanurkowałem ręką w kieszeń spodni. Położyłem na ławeczce maleńki pendrive.

Może jeszcze kogoś półprawdziwe pieniążki uczynią prawdziwie wolnym człowiekiem.

Alina Tuchołka